Kadry z życia Stefana Kiełszni, fotografa z Lublina

O **Stefanie Kiełszni**, fotografie przedwojennego Lublina, dokumentaliście dzielnicy żydowskiej, mistrzu obiektywu, którego zdjęcia podziwiamy na widokówkach kurierowej kolekcji, człowieku prawym i skromnym, więźniu politycznym Rawicza, opowiadają Ewie Czerwińskiej jego dzieci: Anna i Jerzy. - Siedział w więzieniu za Bieruta, a kiedy wyszedł, traktowano go jako obywatela drugiej kategorii - wspominają - więc nie mógł dostać porządnej pracy

Jerzy Kiełszni, najmłodszy syn Stefana

FOT. MAŁGORZATA GENCA

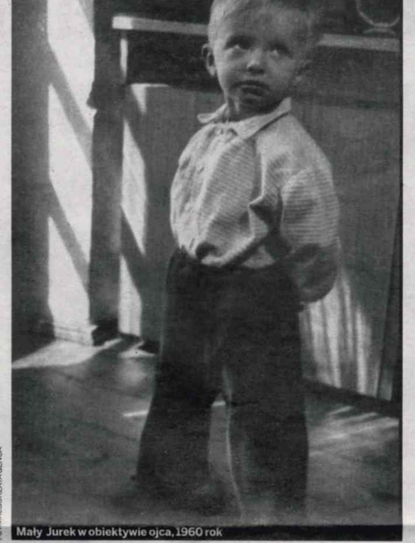
Mały Jurek w obiektywie ojca, 1960 rok

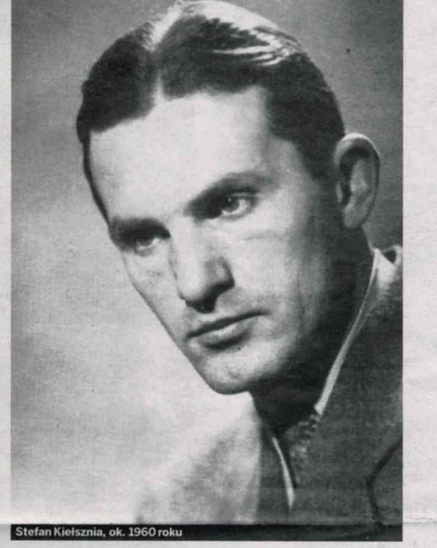
Stefan Kiełszni, ok. 1960 roku

Jak Państwo wspominacie ojca?

Jerzy Kiełszni: Był bardzo ciepłym człowiekiem, nie dało się go nie kochać. Był naszym - moim i moich trzech sióstr - nie tylko ojcem, ale i przyjacielem. Zawsze zwracałem się do niego ze wszystkimi sprawami. To on chodził ze mną do dentysty. Kiedyś zdecydowanie bardziej bolało niż dziś, więc na otarcie łez, po wizycie chodziliśmy do kina - najczęściej do Wyzwolenia albo Kosmosu - na western. Klasyczny, z Johnem Waynem. To było takie nasze męskie hobby.

A kiedy dostrzegł Pan pasję ojca?

J.K.: W dzieciństwie ojciec próbował zarazić mnie fotografią. Kupił mi nawet aparat fotograficzny, radziecki, smiena 6. Oczywiście fotografowałem, do dziś lubię robić zdjęcia, ale nie mam takiego zmysłu obserwacji jak ojciec. Po nim zostało mi zamiłowanie do fotografii czarno-białej. Podziwiam kunszt i kolory - od wszelkich odcieni szarości i bieli do czerni. To wspaniała klasyka. Mistrzostwo świata. Mnie udało się zrobić jedno piękne zdjęcie. Nasza sytuacja finansowa nie była nadzwyczajna. Ojciec zarabiał fotografowaniem, portreciarstwem... Łapał się wszystkiego, żeby zarobić na utrzymanie rodziny. Wtedy wywoływał filmy w domu. Był represjonowany, siedział w więzieniu za Bieruta, a kiedy wyszedł, traktowano go jak obywatela drugiej kategorii, więc nie mógł dostać porządnej pracy.

Jak to było z tym UB?

J.K.: W końcu wojny i tuż po niej ojciec pomagał organizacji WiN, w wyrabianiu dokumentów. Robił zdjęcia. Miał zakład fotograficzny przy ulicy Świętoduskiej. W kwietniu 1949 roku przyszli do naszego domu smutni panowie. Zabrali wszystko, w tym świetny aparat fotograficzny rolleiflex. Śledztwo trwało dziewięć miesięcy. Siedział Pod Zegarem i na Zamku Lubelskim. Dostał wyrok: Pięć lat więzienia jako wróg ludowego państwa. Trafił do Rawicza jako więzień polityczny. Mama została z trzema córkami: Hanią, Jolą i Ewą. Najstarsza Hania miała siedem lat. W dodatku mama była w ciąży z moim bratem Markiem, który umarł w miesiąc po urodzeniu w skutek niedotlenienia. Podejrzewam, że powodem wszystkich komplikacji z ciążą był ogromny stres. Z opowiadań mamy wiem, w jak trudnej była sytuacji finansowej. Kobieta sama, bez zawodu musiała utrzymać dom.

Jak sobie dawała radę?

J.K.: W tej samej kamienicy co my, mieszkali dziadkowie, rodzice mamy i ojca. Obydwie babcie pomagały. Dzięki nim moje siostry przeżyły. Teraz dopiero widzimy, jaki to skarb ten dom. Duży, trzypokoleniowy.

Ciekawe, co jedliście?

Anna Kiełszni: Krupnik i krupnik. Zawsze się krzywiłam, że wciąż to samo. Babcia dobrze gotowała, nawet na gwoździu potrafiła coś zrobić, wymyślała, a to jakieś placuszki, a to pierogi... Ale nie było urozmaicenia.

Ślubna fotografia Stefana i Stefanii Kiełszniów, Lublin, 1941 rok

> „Pamiętałyśmy go z więzienia, bo mama zabierała nas na widzenia. Najmłodsza Ewa śpiewała mu „My jesteśmy krasnoludki, hopsasa"

Czułyście się gorsze?

A.K.: Wiadomo było, że ojciec siedzi. Przynajmniej najbliższe koleżanki wiedziały, i ich rodzice. W czasie zabawy zdarzały się przepychanki słowne: „A bo twój tata siedzi w więzieniu!" My nie rozumiałyśmy, za co siedzi, ale nie miałyśmy poczucia wstydu. Pamiętam pogrzeb naszego brata Mareczka. Taką białą trumienkę nieśliśmy na cmentarz przy Lipowej. Do dziś to we mnie siedzi...

J.K.: Mama pisała listy do Bieruta z prośbą o ułaskawienie taty ze względu na sytucję rodzinną. Po trzech latach i sześciu miesiącach ojca wypuścili i mama była przekonana, że to towarzysz Bierut, dobry prezydent, go zwolnił. Do śmierci w to wierzyła. Kiedy komuna padła, zadzwonił do mnie Henryk Pająk - a znałem go poprzez teścia - i powiedział, że jest w posiadaniu teczki z aktami ojca z ubecji. On miał dostęp do archiwów, bo pisał o tych sprawach, ale, mówi: Nie mogę jej dać na dłużej, a tylko wypożyczyć na dwie godziny. Więc skserowałem te dokumenty i z nich dowiedzieliśmy się, że to nie dobre serce Bieruta, tylko poważnie zaawansowana gruźlica. Była w teczce opinia lekarza więziennego, pisał w niej, że jeśli ojciec nie zmieni klimatu, to umrze. Miał prosówkę i to był powód, żeby go zwolnić. Nie chcieli psuć statystyki.

A.K.: Jeden z więźniów dostał penicylinę, ale nie dożył. Ten zastrzyk dano ojcu. Doskonale zareagował. Niesamowite szczęście. Po wyjściu z więzienia pojechał do sanatorium do Zakopanego. Pamiętam, jak opowiadał, że tamtejsi lekarze chcieli mu zrobić nacięcia na klatce piersiowej imitujące operację po to, żeby, jak twierdzili, już więcej do więzienia nie wrócił.

A kiedy wrócił? Pamięta Pani ten dzień?

A.K.: Jak by to było dziś. Ojciec nie przyszedł do nas na górę, tylko zszedł do sutereny, gdzie mieszkali jego rodzice. Był rok 1953, listopad. Pamiętam, że nagle w domu zrobił się jakiś ruch. Myśmy z siostrami zbiegły na dół, patrzymy, a tam na starym kufrze siedział ojciec. Taki strasznie szczupły, ziemisty, biedny, w szarym ubraniu. Pamiętałyśmy go z wiezienia, bo mama zabierała nas na widzenia. Najmłodsza Ewa śpiewała mu: „My jesteśmy krasnoludki, hopsasa". Wrażenie na nas, dzieciach, robiła brama, stukot krat. Drewniaki walące o bruk. Pasiaki, ogolone głowy. Patrzyłyśmy z ciekawością. Nie bałyśmy się. A kiedy tata wrócił, przeżywałam, że ma takie smutne oczy. Wrócił z książeczką do nabożeństwa. Chciał, żebyśmy mu ją włożyli do trumny. Włożyliśmy. Przyniósł też notatki z więziennego „uniwersytetu".

Na szczęście zostało część archiwum ojca. Nie wszystko UB zarekwirowało. Dzięki temu możemy oglądać dzielnicę żydowską w Teatrze NN.

J.K.: Skąd te zdjęcia? Tata mówił, że w jego biurku w domu była taka skrytka, której ubecy nie zauważyli i tam leżała część filmów. W 1937 roku wojewódzki konserwator zabytków wystąpił z apelem do członków Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego, aby dokumentowali miasto - remonty, zmiany, dom po domu. Panowie rozbiegli się z aparatami. Także ojciec. Po wojnie miał taką ideę, żeby zrobić wystawę tamtych zdjęć, a obok współczesnych ujęć tych samych miejsc. Zachorował, nie zrealizował zamiaru.

A.K.: Ten epizod z portretami jest ciekawy. Wie pani, co to było? Taka chałtura. Po powrocie z więzienia ojciec nie mógł dostać żadnej państwowej pracy, bo był wrogiem ludu. Wtedy zabrał się za portreciarstwo. Polegało to na tym, że ludzie przynosili do niego portrety ślubne, czarno-białe, a ojciec dorabiał róże, garnitury, koronki, wszystko kolorował. Okropne, ale musiał zarabiać na utrzymanie rodziny.

J.K.: W końcu dostał pracę w dyrekcji DOKP. W biurze projektowym, w archiwum. Po podstawówce postanowiłem pojechać do szkoły poligraficznej do Warszawy, więc nasza rodzina miała zniżki na kolej. To go trzymało przy tej pracy. Polegała ona na tym, że fotografował różne kolejowe inwestycje. Zobaczyłem wtedy profesjonalny sprzęt, którym przy okazji tata robił piękne zdjęcia - wiejskich chałup, pejzaży. Obiecywano mu w DOKP, że utworzą dla niego pracownię fotograficzną, ale słowa nie dotrzymali.

A.K.: Więc musiał wszystkie prace robić w naszej łazience. Na desce położonej na wannie stały kuwety, wywoływacze, okienko czarnym papierem zasłonięte, drzwi do pokoju szczelnie zamknięte, żeby nie daj Boże nie prześwietlić. Do dziś pamiętam horror oczekiwania na wolną łazienkę, kiedy piliło. Mama goniła nas o ósmej spać, żeby ojciec mógł pracować.

J.K.: Właśnie w naszej łazience zetknąłem się z procesem powstawania fotografii. Kiedy, na przykład, zanurza się w cieczy papier i powoli coś się na nim wyłania. Sprzęt miał świetny. Sam zrobił między innymi powiększalnik.

Los się w końcu odmienił?

J.K.: Nigdy nie zapomniano mu więzienia. Tata powtarzał, że więzień polityczny ma zabrudzone papiery przez dwadzieścia pięć lat. Miał ogromne możliwości. Był oczytany. Dżentelmen, nigdy nie widziałam u niego brudnych butów. Fascynował się ruchem solidarnościowym, który tworzył się w Polsce.

A.K.: Ojciec kochał muzykę. Ciągnął mnie czasem na koncerty. Kiedyś pojechaliśmy do Warszawy, na występ Kuczerów. To był taki czeski, bardzo popularny w tamtym czasie zespół. Grali i śpiewali piękną muzykę południowo-amerykańską. Przyjeżdżamy do stolicy, a tu koncert odwołany. „Hanka, tylko nic nie mów mamie" - prosił. Straszne było wtedy to nasze rozczarowanie. Poza tym ojciec kolekcjonował płyty, wydawał dużo pieniędzy na książki.

J.K.: Ojciec urodził się w Jakubowicach Murowanych. Dziadek Aleksander był młynarzem. Miał dwóch braci. Jeden z nich Ludwik, absolwent szkoły lotniczj w Dęblinie, w czasie II wojny latał w dywizjonie 306 jako mechanik pokładowy. Do Anglii dostał się z grupą ewakuujących się pracowników wytwórni samolotów Plagego i Laśkiewicza, gdzie pracował. W latach 70. syn Jerzy zabrał go do Manchesteru, gdzie jedyny raz po wojnie spotkał się z bratem.

Jak zdjęcia ojca trafiły do muzeum?

J.K.: Jeszcze żył, kiedy przyszło zainteresowanie fotografiami żydowskiej dzielnicy wykonanymi przez ojca. Z cienia wyciągnął go Henryk Gawarecki. Odezwała się też fundacja Nawigator ze Stanów Zjednoczonych. Przyjeżdżał do Lublina jej przedstawiciel, Forbes, kupował fotografie od ojca za... płyty z muzyką klasyczną - potem wystawił te zdjęcia w Bostonie i Nowym Jorku, a dalej ekspozycja pojechała do Paryża.

A.K.: Tata się cieszył, że wreszcie te jego zdjęcia, które pół wieku przeleżały w szufladzie, ktoś ogląda. Ale teraz dopiero miałby satysfakcję!

J.K.: Bo wiele się dzieje. Zdjęcia taty trafiły do teatru NN - jest tam stała ekspozycja. Z inicjatywy teatru wkrótce będzie nowa wystawa, na stulecie urodzin ojca. W Dreźnie kończy się właśnie druk albumu. Fotografie ojca zobaczyła przypadkiem w TNN Urlike Grosart. Zainspirowały ją. Postanowiła odtworzyć świat kolorów z tamtych lat. Obok starych zdjęć - na przykład sklepowych witryn - pokazała, to, co one reklamowały. Dokładnie ten towar, tyle że w kolorze. Zjeździła całą Europę szukając dokumentacji. Dziś już wiemy, jakie barwy miały na przykład tkaniny z lat trzydziestych. Wróciła fotografiom ojca życie.

Zdjęcie Stefana Kiełszni wysłane na konkurs „Żołnierza Polskiego" w 1946 roku

Wiosenne kwiaty Kiełszni nagrodzone w konkursie w 1947 roku

FOT. ARCHIWUM RODZINNE (3)